



W Bielsku dnia 21 czerwca 1905.

Jałmużna.

Jałmużnę zalicza katechizm do uczynków miłosierdzia wobec bliźniego i jest ona nim rzeczywiście. Są pewni ludzie, którzy jałmużnę ganią, twierdząc, że dawanie jałmużny jest upokorzeniem bliźniego, a to co bliźniego poniża i upokarza, nie może być chwalone jako dobry uczynek.

Zdaniem naszym jestto spór tylko pozorny. Nikt z pewnością nie gani jałmużny, jako dobrego uczynku i pomagania bliźniemu w jego niedostatku, lub w innej potrzebie. Ci nawet, którzy przeciw jałmużnie występują i ganią ją jako upokorzenie bliźniego, mają zapewne na myśli tylko „sposób dawania jałmużny“, obecnie rozpowszechniony i ogólnie przyjęty, a polegający na tak zwanem żebractwie. Biedny człowiek, bierze torbę na plecy i kij do ręki i wybiera się w drogę od chaty do chaty, od wioski do wioski, albo siada pod kościołem, pod figurą, przy drodze i wyciąga rękę do przechodniów po wsparcie.

Ten sposób udzielania jałmużny jest rzeczywiście upokarzający dla człowieka, a stan żebraczy jest największem poniżeniem człowieka. Więc już i ustawy państwowe zakazują żebrania i karzą tych, którzy publicznie, na ulicy, wyciągają rękę do przechodniów po jałmużnę.

Żebractwo tedy jest ustawą świecką zakazane i bywa karane aresztem, zwłaszcza gdy się to dzieje po miastach. Gdy żandarm chce komu dokuczyć, lub popisać się pilnością w swej służbie, aresztuje proszących o datek i jako „żebraków i włóczęgów, oddaje sądowi.

Na tem nie koniec. Ustawa państwowa uważa żebractwo jako sposób zarobkowania i wydaje „karty zezwalające na żebranie“, a nawet ściąga podatek z dziadów żebrzących, np. z lirą lub innym instrumentem.

Dowodzi to, że taki sposób dawania jałmużny, tj. rzucanie kilku groszy żebrakom, jest istotnie niedobry, niezgodny z oświatą i poczuciem godności człowieka. Słusznie więc zupełnie ustawa państwowa zakazuje żebractwa, a zakazując go, temsamem wszystkich poucza, że dawanie jałmużny powinno się odbywać w inny sposób, jeżeli ma zasługiwać na miano dobrego uczynku, i — co najważniejsza — być dziełem społecznego dobra.

Czyż mamy więc powiedzieć, że Kościół zaliczając „jałmużnę“ pomiędzy dobre uczynki, postępuje niewłaściwie, lub pozwala na to i to zaleca, czego broni ustawa państwowa? Bynajmniej. Kościół Chrystusowy zalecając dawanie jałmużny, nie ma wcale na myśli pochwalania tego sposobu jałmużnictwa, które grosze rozdziela pomiędzy siedzące pod kościołem lub na cmentarzu dziady.

Kościół nazywa jałmużną „dobrowolną ofiarę ze swego mienia na korzyść ubogich“, ofiarę, daną nie bezpośrednio żebrakowi do ręki, ale składaną do wspólnego skarbca wiernych; ofiarę nie publiczną, jawną na ulicy, lub pod kościołem w oczach ludzi, ale ukrytą i Bogu samemu wiadomą, wedle słów Pana Jezusa: „niech nie wie lewica, co czyni prawica.“

Taką jałmużnę dawali pierwsi chrześcijanie, składając ją u nóg Apostołów lub do skarbony kościelnej, z której rozdawano ją pomiędzy ubogich, pomiędzy wdowy i sieroty. Taka jałmużna nie upokarzała nikogo, bo szła ze skarbca spólnego wiernych, nie jako datek osoby, ale jako dar bratni Kościoła; nie tworzyła ona żebraków, lecz właśnie zapobiegała żebractwu, bo w sposób dostateczny zaopatrywała potrzeby uboższych wiernych, wdów i sierót. To też zapewniają nas „Dzieje apostołskie“, że pomiędzy wierzącymi nie było „żadnego niedostatecznego“ — żadnego żebraka.

Gdy liczba wiernych wzrosła, a Apostołowie nie mogli podolać podwójnej pracy nauczania i rozdawania jałmużny, ustanowili sobie pomocników w osobach 7 dyakonów, których głównym obowiązkiem było, mieć pieczę nad ubogimi i zawiadować spólnym skarbem kościelnym.

Taki porządek istniał w Kościele przez kilka wieków, bo jeszcze w IV. wieku czytamy o św. dyakonie Wawrzyńcu, że ci którzy go męczyli, żądali, aby im wydał pieniądze kościelne, na co on im odpowiedział, że je rozebrały dawno „ręce ubogich.“

Kiedy żebractwo weszło do Kościoła trudno nam dociekać, to jedno jest rzeczą pewną, że powinniśmy wszelkich sił dołożyć, aby żebranie jak najrychlej na zawsze między nami zginęło. — A stanie się to wtedy, gdy zrozumiemy, że wydatne miłosierne uczynki względem bliźniego są najważniejsze i istotną cechą chrześcijaństwa a pierwszym obowiązkiem chrześcijanina-katolika, od którego go nie zwolni rzucenie niekiedy kilku groszy żebrakom.

Piosnka matki.

Przy okienku, gdzie bluszcz się zieleni,
Młoda matka swe dziecię kołysze
I pieśń tęskna rozbrzmiewa w przestrzeni,
W dal, w wieczorną unosząc się ciszą.

Drzemie dziecię przy piersi matczynej,
Stuła w słodkim marzeniu powieki,
A tam w sercu, w pamięci dziecięcy
Tony pieśni zostaną na wieki.

Pieśń matczyna, to pieśni aniołów,
Zaświatowej harmonii to echo;
Pośród ziemskich nam dźwięczy padołów
Dziwnie rzewną i słodką pociechą.

Jakby w słońcu rój złotych motyli,
Błyszczą wróżby w niej szczęścia i chwały..
O, jak ludzie szczęśliwi by byli,
Gdyby wróżby matek się sprawdzały!.....
Stanisław G.



STRACENI I ODZYSKANI.

(Dokończenie.)

Cichły chrzęsty kos po łąkach, głosy ludzi i bydła, tylko słychać było po rosie hukanie stróżów, pilnujących pól od dzików. Gdzieniegdzie błyskały ogniska, a siwe ich dymy snuły się w dziwne kształty po mgle wieczornej.

Jurek pozbierał resztki wieczerzy, włożył dziadowi sakwy na plecy i kij do ręki.

Poszli w mrok....

Dniało zaledwie i wieś dopiero budziła się ze snu, kiedy Makar z Jurkiem do niej wchodzili.

Tu i ówdzie baba rozczochrana niosła cebryk z jadłem do chlewa, albo zaspana dziewczyna szła z próżnym skopkiem do stajni.

Otwierały się drzwi stodoł, skrzypiąc w drewnianych zawiasach. Młode koguty piałły na różne głosy po wsi, jakby się uczyły pisać dopiero, albo jakby chciały stare przedrzeźniać.

Dochodzą do chaty, serce bije czegoś dziadowi, ściska mocniej Jurka za rękę. Tylko czekać, aż „bosy“ wypadnie ku nim ze szczekaniem, potem ich pozna i skakać zacznie po nich i łasić się, wachać po sakwie. Ale nie ma go dzisiaj, pewnie wybiegł w pole i włóczy się za zającami po rosie.

Nagle Jurek stanął.

— Co? — pyta dziadek.

— Lipy niema w podwórzu — krzyknął chłopiec.

Przychodzą pod wrota, puścił dziad chłopaka, wyjmując z wrot kółko, wchodzi w dziedziniec, idą prosto, gdzie stała lipa.

— Ścieli!... pniak tylko został — płacze Jurek.

Nie wierzy Makar, odrzuca kij, pochyla się ku ziemi. Wyciąga ręce przed siebie, rozwiera je szeroko, dotyka się gładkiej, ściętej powierzchni pniaka, maca korę po bokach.

— Piłą rznęli, piłą...

Siły nie miał powstać, objął pniak rękoma.

— I graby ścięte i dąb — szłocha Jurek — i pszczoł niema.

— Przemienienie Pańskie! — szepce dziad zmienionym głosem — Omama, czy co?

Coś mu się dzieje takiego, jakby mu ktoś ucinął ręce, wyrwał nogi ze stawów.

Zdaje mu się, jakby ta piła, którą rznęli lipę, przecinała go w pół, jakby mu do gardła skakała.

Opuścił ręce po pniu.

.....
Skrzypnęły drzwi chaty i jakieś ciężkie kroki szły podwórzem.

— Do Mykity? — ozwał się głos Niemca kolonisty. — Niema go tu już; pojechali do Ameryki, a ja to wszystko od nich kupił, i chatę, i ogród, i pole, i łąkę...

— Do Ameryki! — jęknął Jurek.

— I ogród, i pole, i łąkę... — powtarzał dziad, jak we śnie.

I znów skrzyp drzwi i cisza.

Niemiec wszedł do chaty i wrota za sobą zaparł.

Koło pniaka ściętej lipy stoją Makar i Jurek.

Chłopak patrzy na pustkę tam, gdzie była chmura liści i kwiatów, które na niego niegdyś leciały; dziad słucha ciszy nieprzerwanej już szumem gałęzi, ani życiem tulących się w nich ptaków...

Ciszę zmąciły nagle wesołe głosy ludzi, śpieszących do żniwa; słychać je było coraz to bliżej, wyraźniej...

Wtedy Makar ujął Jurka za rękę i bez słowa począł prowadzić go drogą, którą tu przyszli.

Skoszonymi łąkami, pomiędzy pochylone dojrzałe żyta, poszli obaj, dziad i wnuk, trzymając się za ręce. Widać ich było długą chwilę, jak szli milczący, zgubieni, zagaśli.

Szli zrazu szybko, jakby chcieli uciec od czegoś, a potem już wolno nie spiesząc się.

Aż wreszcie znikli, rozplynęli się jak dwa widma w tumanach mgły.

Trzy lata z okładem minęły. Stary Makar przygiął się ku ziemi, nogami zaledwie włócząc. Jurek nieraz podtrzymywać go musiał, gdy szli pod górę, lub gdy starzec z kłęczek się podnosił.

Ciężki był ich żywot sierocy. Przegarnięci czasem i posileni przez miłosiernych, częściej przez bezlitośnych z zimną i samolubną obojętno-

ścią bywali odepchnięci — ot, jak zwykle nędzę cierpiącym zdarza się na świecie.

Pewnego dnia na wiosnę, gdy wycieńczeni głodem, przeszedłszy drzącym krokiem polną drożynę, doszli do gościńca i osunęli się na darń pod figurą, ujrzeli idącą od strony miasta gromadkę ludzi, między którymi dwoje tylko było starszych, reszta dzieci. Z tych najwyższy, może 14-letni wyrostek, niósł równie jak ojciec, duże sakwy podróżne. Każde z rodziny dźwigało zresztą mniejszy lub większy tłomoczek lub węzełek. Gdy się zbliżyli do krzyża, pod którym siedział nasz żebrak z wnukiem, dał się w gromadce słyszeć okrzyk zadziwienia:

— Mamo, patrzcie, tożto dziadek Makar siedzą z Jurkiem przy drodze! — zawołała 10-letnia dziewczynka.

Jurek też poznał w tej chwili rodziców i szepnąwszy: — Dziadziu to oni idą! — zerwał się i chciał biedz ku nim, ale osłabienie ze wzruszeniem podcięty mu nogi. Upadł na piasek.

— Synku mój! — krzyknęła niewiasta i rzucając swój węzeł na ziemię podbiegła ku Jurkowi. Reszta też przybieżała. Zdumiały dziadek wznosił tylko ręce ku niebu i powtarzał: — Panie, czy to ich głos słyszę ja jeszcze na ziemi! —

Pospieszył Mykita i kląkł przed rodzicem: — Ojczy — rzekł wzruszony — Bogu dziękuję, żeś was przy życiu jeszcze zastał! Odjechaliśmy bez błogosławieństwa twojego, bez pożegnania, zostawiając cię z chłopcem na nędzę i poniewierkę. To było z obrazą Boga. Karał nas też przez całe dwa lata, nawiedzając to chorobami, to pożarem, to nieurodzajem, to ciągłymi stratami wynikłymi z zawiści drugih; zdawało się już, że położymy głowy, marnie ginąć na obczyźnie. Aż w najcięższym strapieniu, przyszło nam na myśl, aby Bogu ślub taki uczynić, że gdy nas od klęsk wybawi i zarobimy choć tyle, co na odkupienie ojcowizny starczy, powrócimy zaraz do kraju i będziemy cię ojczy przez resztę niedołącznych lat starości pielęgnować. I poszczęścił nam Bóg nadspodziewanie. Zdrowie służyło, zarobek się mnożył, dobytek rósł. Złożyliśmy kwotę potrzebną do zagospodarowania się i teraz już nic nas z sobą nie rozłączy aż do śmierci.

Staruszek ze wzruszenia nic nie mógł mówić. Obejmował tylko rękoma głowę syna i przypadł z dziatkami do kolan synowej, która łkając, jąkała:

— Przebaczcie nam tatusiu, nie pamiętajcie dawnej krzywdy!...

Po powitaniach i łzach radości zmówiwszy dziękczynną modlitwę do Tego, co zimne serca nawraca a wędrowcami na krańcach świata się opiekuje — zasiedli gromadnie na murawie i wypakowawszy z sakwy podróżne zapasy, wspólnie się niemi pokrzepili, a odpocząwszy jeszcze z błogiem uczuciem pod czystym błękitem nieba, na którym szary skowronek radosną pieśń im zadzwonił, podnieśli się, by ruszyć dalej: Mykita z synem zabrali tłomoki. Kobieta podtrzymywała chwielej kroki starca. Jurka wzięła w opiekę siostra, trzymając go pod ręce i głaszcząc wynędzniałą twarzyczkę.

I ta pogodzona i wesola na duchu rodzina, skierowała się ku opuszczonej przed laty wiosce, by w jedności i dalszej pracy spędzać żywot na ojczystym zagonie.

J. A.

Złote ziarnka.

Kto ufa Bogu, a pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.

Niemądry, kto śród drogi,
Z przestrachu traci męstwo;
Im sroższe ciernie, głogi,
Tem miłsze jest zwycięstwo.

Kogo czuciem szlachetnem obdarzyłeś Boże,
Ten o złem, bez wzdrygnięcia i słuchać nie może.



Listy od Czytelniczek „Niewiasty.”

Krzywda wdowia i sieroca.

Pochwalony Jezus Chrystus! Piszę z wielkim uzaleniem do Szanownej Redakcyi, zmuszona swą krzywda i proszę o jaką poradę:

Mąż mój, Jan Kadłuczka, urodzony w Rudnie, ożeniwszy się w Tenczynku, szukał jako stolarz, roboty i tak zaszedł aż do Ostrawy, gdzie pracował do r. 1904 na szachcie Trójcy. Dnia 16 lipca poszedł z kolegą kapać się i utonął. Usłyszawszy o tem, posłałam telegram prosząc o wstrzymanie się z pogrzebem, aż przyjadę. Tymczasem Marcin Kadłuczka, brat mego męża, mieszkający w Żarubku pod Ostrawą, u Józefa Stańka hawierza na tejże szachcie Trójcy, dostał od zarządu 40 koron na pogrzeb, ale gdy przyjechałam, zataił to, mówiąc mi, że on swoim kosztem pogrzeb sprawia. O jego kłamstwie dowiedziałam się w kancelaryi, gdzie poszłam po wypłatę reszty mężowej należitości, w sumie 33 koron i powiedziano mi, że 40 kor. Marcinowi wręczono. On jednak próbował zaprzeczyć, a kupił tylko trumnę i pantofle na nogi, bo resztę przepił, a ja już z otrzymanych pieniędzy opłaciłam pogrzeb, tj. księdzu 13 kor., a od grobu 5 kor., postarałam się też, aby w przyzwoitem odzieniu był pochowany.

Na drugi dzień poszłam znów do kancelaryi, prosić o jaką pensję, ale ten pan, co tam był, nie wiem czy sekretarz, czy inny, powiedział mi, że pensyi nie dostanę, bo mąż nie przerobił 5 lat, ale po pierwszym otrzymam dla dzieci i siebie jakąś podpórę. Gdy zapytał, czy mnie te pieniądze do Tenczynka posłać, czy też dać na ręce mego szwagra Marcina, prosiłam, aby do mnie posłano.

Czekałam na ową zapomogę miesiąc cały, wreszcie 17 sierpnia pojechawszy do Ostrawy po wyciąg aktu pośmiertnego mego nieboszczyka, zaszłam i na szachtę przypomnieć o swoim wsparciu. Owego pana, który mi je obiecał, już nie było, bo poszedł na pensję, a jego następca, usłyszawszy kto jestem i po co przychodzę, wziął mię za bary i z kan-

celaryi wypychać zaczął, mówiąc, że nic mi się stąd nie należy. Ja na to wspominam, co mi obiecał poprzedni p. sekretarz który dodał również, że będę miała zwrócone pieniądze za przyrządy górnicze, których mąż mój używał. On jednak nie dał mi mówić i choć jeszcze prosiłam o książkę asekuracyjną z obrachunkiem, który mi się za 4 lata należał, wypchnięta zostałam za próg, usłyszawszy tylko na końcu z jego ust, że ja „różne brzydkie rzeczy pisałam na męża do księdza w Polskiej Ostrawie.“ —

Oślupiałam na te słowa, bo mogę świadczyć przysięgą, że nic takiego nie uczyniłam. Dopiero wyjaśniło mi się to wszystko, gdym rozważyła w myśli, iż to jest zemsta ze strony rodziny mego zmarłego męża i że tego nikt inny nie napisał, tylko Marcin Kadłuczka przez złość, że mu nie dałam ubrania po moim mężu i że za pieniądze, które otrzymałam z szachty, nie uraczyłam ich częstunkiem. A skądże ja mam na to, kiedy pieniądze te wydać musiałam w Ostrawie i oddać ludziom, którzy mi na kolej pożyczili?

Dowiedziałam się potem, że w tym liście, pisali też, że nie jestem warta zapomogi, bo cobym dostała, to przepiłabym z kawalerami — a przecie ks. proboszcz w mej parafii i wójt w Tenczynku mogą wydać świadectwo, że moralne prowadzę życie, bo mię znają od dziecka, a o Kadłuczkach wiedzą wszyscy, że są pijakami.

Ten list fałszowany, który podpisali mojem imieniem i nazwiskiem, był doradzony przez Józefa Stańka, który ma znów do mnie urazę, że jako biedna wdowa, nie mogłam mu dotąd oddać 16 koron, które jak mówi, pożyczył nieboszczykowi. Odgrażał się za to, że tak uczyni, iż ja ani grosza wsparcia z zarządu nie dostanę. Rodzina męża, głosi przytem bezczelnie, że ja męża nago pochowałam, co jest niecną potwarzą.

Dziwi mię to tylko, że panowie z szachty tak łatwo uwierzyli oszczerstwu ze strony fałszywych oskarżycieli i nie zbadali, jaka jest prawda i jak mogli zawiadomić urząd w Krzeszowicach, że ja wsparcie dla siebie i dzieci dostałam, kiedy mojem wsparciem było to, że mię jak psa za próg wyrzucono nie dawszy ani grosza, a dzieci taką mają zapomogę, że z biedy i nędzy, płaczą na niegodnych ludzi, którzy zawiścią swoją, sierocęj rodzinie chleb odebrali.

Marya Kadłuczka w Tenczynku.

NOWINY I NOWINKI.

Zabita przez piorun. W Rusosicach pod Krakowem uderzył piorun w drzewo, pod które schroniło się przed burzą czworo ludzi. Jedna kobieta i dwie dziewczyny odczołgały się od drzewa, trzecia leżała martwa. Jeden z robotników ścinający w pobliżu przecie przyskoczył do nich prędko i obłożył je ziemią. Po chwili martwa dziewczyna wróciła do przytomności, kobieta zaś w krótkce umarła, a dwie inne doznały wielkiego osłabienia.

Zwaryowane panny miejskie. W Krakowie zastrzeliła się na błoniach słuchaczka uniwersytetu, Anna Rupniewska, młoda 18-letnia pa-

nienka, przybyła z Warszawy. Nic jej nie brakowało, wszystkiego miała pod dostatkiem, a mimo to targnęła się na swoje życie i to wśród dziwnych okoliczności. Wybrała się mianowicie z kilku kolegami męskimi w nocy na spacer ku „Panieńskim skałom”. Gdy przyszli na błonia wyprzedziła swych towarzyszy, stanęła przed nimi, przyłożyła lufę do skroni i powiedziawszy: „Patrzcie jak się bawię” huknęła sobie z rewolweru do głowy. Po kilku godzinach skonała. W kieszeni jej znaleziono kartkę, którą przed kilku godzinami pisała do kochanka, a na niej słowa: „Nie przez ciebie Romuś, ale ot tak sobie!” Niewiadomo naprawdę co o tem myśleć. „Ot, tak sobie” strzela się młoda panienka miejska! Brak wiary prowadzi do takich czynów!

Zabici od pioruna. Dnia 2. bm. pojechali gospodarze ze wsi Brzyszczy w pow. przemyskim, po drzewo budowlane do lasu w Krąjowicach. Kiedy wracali z lasu i wyjeżdżali na gościniec bity, nadciągnęła niewielka chmura z grzmiotem. Dwóch z nich zostawiło konie z wozem na drodze, sami zaś stanęli pod wierzbą, rosnącą przy gościńcu obok rowu. W tej chwili uderzył piorun właśnie w tę część drzewa, pod którą stali i zginęli obaj natychmiast. Jeden z nich nazywał się Józef Dybaś, drugi Jan Trzeciak. Konie i wozy ocalały.

Śmierć z poparzenia. Dnia 26. zm. terminator Władysław Sulikowski niósł do domu spirytus z handlu Grossego w Krakowie. Około hotelu krakowskiego pękło jedno z naczyń ze spirytusem; płyn oblał ubranie chłopca i częściowo spłynął na chodnik. Zobaczył ten wypadek wóznica stojący około hotelu, zapalił z głupoty zapalnik i rzucił na chłopca. Nieszczęśliwego ogarnęły płomienie w jednej chwili i tak go poparzyły, że w kilka godzin umarł. Sprawca czynu zemknął.

Ukarany bluźnierca. Weszły piątek przeciągała nad Brozowcem burza z grzmiotami i błyskawicami. Na budowli niejakiego Wojtyka pracowało przy piecu piekarskim 3 murarzy. Jeden z nich odezwał się w te słowa: „Ach Boże, jak bardzo się zciemniło.” Na to odezwał się drugi murarz: „Eh głupstwo. Gdzie masz jakiego Boga!” Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy przez zamknięte okno uderzył piorun i poraził bluźniercę, podczas, gdy jego towarzyszom nic się nie stało. Bluźniercę ubezwładnionego na całym cieple przewieziono do lazaretu. Jeżeli w ogóle pozostanie przy życiu, będzie tam mógł rozmyślać nad tem, że jest Bóg, który wszystko widzi i słyszy i za dobre wynagradza, a za złe czasem natychmiast karze.

Rozwiązanie zagadki z nr. 11.: „Rządzenie”. — Rozwiązania trafne nikt nie nadesłał, bo p. Zontek rzeczywiście je utrudnił. Zresztą prawdą jest, że kobieta lubi rządzić, ale niejedna lubi bardziej inne rzeczy n. p. stroje, lub coś podobnego. —

Zagadka rachunkowa.

W każdym z czterech kątów izby siedzi kot i śpi,
A przed każdym kotem siedzi takich kotów trzy,
Na każdego zaś ogonie kot się mieści znów,
Ile było w izbie kotów? — Porachuj i mów.